WIDNOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

Nr 10 Rok I
3 XII 1961
UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"

WITOLD SZYMCZYK

AMATORZY PRZY KAMERACH

HOBBY Z PERSPEKTYWĄ

PRZYDATNOŚĆ i pożyteczność filmu we wszystkich dziedzinach współczesnego życia jest dziś sprawą nie podlegającą dyskusji. Nie może się bez niego obejść naukowiec, inżynier, nauczyciel, trener sportowy i wiele innych ludzi, w których pracy film jest bądź środkiem pozwalającym na obserwację i utrwalenie na taśmie przebiegu skomplikowanych procesów i zjawisk, bądź też pomocą w przekazywaniu wiedzy czy doświadczeń. Jako forma oddziaływania jest film wykorzystywany także coraz powszechniej w działalności kulturalnej, oświatowej i to na skalę coraz bardziej masową. Dowodem tego jest stale rosnąca liczba kin oświatowych i fakt zaopatrywania się przez wiele placówek kulturalnych w aparaty projekcyjne.

Zjawisko to obserwujemy w naszym województwie od pewnego okresu, ale obecnie staje się ono powszechne. Należy odnotować je z zadowoleniem i podkreślić, iż nasi działacze kulturalni coraz częściej i umiejętniej posługują się filmem w swej pracy.

Problem jednak, podobnie jak przysłowiowy medal, ma dwie strony. Film bowiem w pracy kulturalnej nie musi być jedynie przedmiotem konsumpcji społecznej. Może on — podobnie jak to jest ze sztuką teatralną, muzyczną itp. — być polem do działania dla ruchu amatorskiego, który w wymienionych dziedzinach wniósł przecież wiele wartości i spełnia pozytywną rolę w naszym życiu. Film amatorski ma w tym względzie równie duże możliwości.

Obecnie aktywnie działają w województwie rzeszowskim 3 amatorskie kluby filmowe. „Beskid" przy Domu Kultury w Gliniku Mariampolskim, „Rzech" — klub DK WSK w Rzeszowie oraz „Lasowiacy" w stalowowolskim Domu Kultury. W stadium organizacji jest ponadto AKF przy rzeszowskim WDK i AKF w Przemyślu. Ale ten ostatni z braku funduszów ma na razie, niewiele szans na przyszłość.

„Beskid" i „Rzech" to kluby stare i okrzepłe. Pierwszy ma na swym koncie 10 zrealizowanych filmów, drugi — 17. Zrealizowanych, tzn. po obróbce laboratoryjnej i montażu, gdyż nakręconych, a nie opracowanych jest znacznie więcej. Klub „Lasowiacy", istniejący dopiero od ubiegłego roku, ma gotowe dwa zestawy kroniki, a obecnie pracuje nad reportażem filmowym o Stalowej Woli.

Poza kierownikiem tego klubu p. Latawcem, który swego czasu zetknął się bliżej z pracą kroniki filmowej, nikt z członków wszystkich trzech klubów nie miał uprzednio nic wspólnego z filmem. Kierujący pracą „Rzecha" Jerzy Olma, kierownik „Beskidu" Mieczysław Staszewski i niektórzy inni członkowie AKF parali się niegdyś fotografią artystyczną, bądź amatorską. Pozostali zaczynali po prostu od fotograficznego ABC.

Dziś mają już oni niezłe rezultaty. „Beskid" zdobył dwie nagrody na imprezach ogólnopolskich: pierwszą nagrodę za film na taśmie 8 mm „Światło ziemi" (o I. Łukasiewiczu) na przeglądzie filmów amatorskich w Warszawie w 1958 r. oraz pierwszą nagrodę na ubiegłorocznym konkursie górniczych klubów filmowych w Katowicach za film na taśmie 16 mm — „De urbe" (o Bieczu). „Rzech", który próbuje swoich sił także w filmie kolorowym jest laureatem III nagrody na przeglądzie związkowych klubów filmowych w 1961 roku. Oglądając filmowe próbki amatorów ze Stalowej Woli, stwierdzić można, iż już w niedługim czasie i ten klub zaprezentuje nam interesujące obrazy.

* * *

Działalność klubów filmowych traktowana jest obecnie przez placówki i władze kulturalne jako nieszkodliwe hobby, coś tak jak kółka brydżowe czy filatelistyczne. Cała pomoc dla nich ogranicza się tylko do strony finansowej. Natomiast o kierowaniu AKF-ami i wykorzystaniu ich w pracy kulturalnej na razie trudno mówić.

Tymczasem na półkach szaf klubowych leży kilka filmów, które mają już dziś niejednokrotnie dużą wartość dokumentalną i po odpowiedniej obróbce mogłyby z powodzeniem iść na ekrany kin szkolnych czy oświatowych. Należą do nich oba wymienione filmy „Beskidu", oraz takie filmy „Rzecha" jak: „Jeziorka Duszatyńskie", „Wizyta N. S. Chruszczowa w Rzeszowie" i inne. Na razie jednak filmy te dostępne są tylko ich autorom. Wypadki wyświetlania filmów amatorskich, nawet załogom własnych zakładów pracy, są raczej rzadkie i ograniczają się do pokazywania kronik czy reportaży z kolonii letnich.

Chodzi jednak nie tylko o gotową już „produkcję", ale również o to, co może być zrobione w przyszłości, o współdziałanie z filmowcami amatorami, zwracanie im uwagi na istotne zjawiska życia. Przykładem takiego współdziałania mogą być Gorlice, gdzie Referat Kultury Prezydium PRN ściśle współpracuje z członkami klubu „Beskid". Z tej współpracy powstały krótkie filmy o ważniejszych wydarzeniach kulturalnych w powiecie, artystach ludowych, o obchodzie Miesiąca Ziemi Gorlickiej, a obecnie w realizacji jest film o sztuce ludowej tego regionu.

Te doświadczenia należałoby upowszechnić. Przecież wytwórnie państwowe nie są w stanie poświęcić naszemu województwu wiele uwagi. Wyprodukowane przez nie filmy o Rzeszowszczyźnie można by dosłownie zliczyć na palcach. Dlaczegoż by więc nie realizować i rozpowszechniać amatorskich filmów popularyzujących naszą sztukę ludową, piękno ziemi rzeszowskiej i wielkie przemiany, które się tu dokonują? Tysiące mieszkańców Rzeszowszczyzny mogłyby wówczas na własne oczy zobaczyć to, co dzieje się w Tarnobrzegu, Myczkowcach i na innych placach budów

CIĄG DALSZY NA STR. 2

Przed dwoma laty ogromny sukces odniosła w paryskim Luwrze wystawa dawnej sztuki afrykańskiej. Rekonstrukcje rzeźb i malowideł odnalezionych przez francuskiego uczonego H. Lota, który w roku 1957 dokonał wielu odkryć archeologicznych na terenach Tasili (południowa część Sahary) — stały się prawdziwą rewelacją zarówno naukową, jak i artystyczną. Oto jeden z pięciu tysięcy rysunków zdobiących ściany pieczar Żabbarany. Chociaż powstał trzy tysiące lat temu — fakturą przypomina dzieła sztuki nowoczesnej.

Z POEZJI AFRYKAŃSKIEJ

Leopold Sédar Senghor

CZARNA KOBIETO

Naga kobieto, czarna kobieto
Przyodziana w barwę która jest życiem, w formę która jest pięknem.
Wyrosłem w twoim cieniu, łagodność twoich dłoni dotykała moich oczu.
I oto w połowie lata, w samo południe, z wyżyn nakrochmalonego kołnierzyka

Odkrywam ciebie — ziemię obiecaną
I twoja uroda trafia mnie w serce jak orla błyskawica.

Naga kobieto, ciemnoskóra kobieto!
Owocu dojrzały, mroczne ekstazy czarnego wina, usta które w lirykę zmieniły moje usta.
Sawanno w przejrzystej dali, sawanno od pieszczot wiatru wschodniego drżąca

Tam-tamie misternie rzeźbiony, tam-tamie głucho dudniący pod palcami Zwycięzcy —
Twój głos głęboki i niski jest śpiewem tkliwym Miłości.

Naga kobieto, ciemnoskóra kobieto!
Oliwo wonna bez fałdy, oliwo spokojna na ciałach wojowników i książąt Mali,
Gazelo w stepie niebios, gdzie perły gwiazdami zdobią noc twojej skóry,
Radości, zamyślona radości, blaski czerwonego złota na matowej czerni twego ciała —
W cieniu twoich kędziorów jaśnieje moja tęsknota za słońcami twoich oczu.

Naga kobieto, czarna kobieto!
Śpiewam twą piękność przemijającą, chcę ją przekazać wieczności —
Zanim zawistny los w proch cię obróci, w pokarm dla kiełków istnienia.

Alda de Espirito Santo

TAM NAD AGUA GRANDE

Tam wzdłuż brzegu Agua Grande
Od wsi wąska wiedzie droga.
Murzynki piorą na kamieniach bieliznę,
Klaszczą, pluszczą — jak do wtóru
I śpiewają i dzwonią śmiechem zalotnym.
Te pieśni skrzydłem wiatr przywiewa,
Te pieśni niesie woda bystra.
Rozłożywszy bieliznę na rozgrzanych kamieniach,
Murzynki śmieją się beztrosko.
Obok swawolą czarne dzieci,
Swawoli razem z nimi rzeka.
Tylko dzieciństwo daje szczęście:
Radość rozpryskiwania wody drobną dłonią.
A dalej — w traw wysokich cieniu
Niemowlę czyjeś się zbudziło...
Lecz oto już powrotu pora —
Na drodze cichną, milkną pieśni,
Wszystkie dźwięki ścielą się, zastygają w bezruchu
U progu wioski ubogiej.

z francuskiego przełożył JERZY PLEŚNIAROWICZ

LEOPOLD SÉDAR SENGHOR należy nie tylko do czołowych przedstawicieli literatury afrykańskiej, ale jest jednym z najwybitniejszych poetów, którzy posługują się dziś językiem francuskim. Urodzony w 1906 roku w Joal (Senegal) ukończył wyższe studia we Francji, uzyskując doktorat nauk filologicznych. Pracował we francuskim szkolnictwie średnim i wyższym jako wykładowca literatury greckiej i rzymskiej. Podczas wojny przebywał w niewoli niemieckiej, uczestniczył również w ruchu oporu. Od roku 1945 rozpoczął działalność polityczną w Afryce. Obecnie jest prezydentem Senegalu. Wydał kilka zbiorów wierszy „Pieśni w cieniu" („Chants d'ombre", 1945), „Pieśni dla Naette" („Chants pour Naette", 1949), poemat „Chaka", 1951, wybór swoich utworów „Etiopskie motywy" („Ethiopiques",1956) oraz cenioną antologię nowej poezji murzyńskiej i malgaskiej (1948). Wiele wierszy Senghora weszło do ostatnio wydanych antologii poezji francuskiej.

ALDA DE ESPIRITO SANTO (ur. 1926 r.) — wybitna poetka murzyńska, która przebywa na wyspie św. Tomasza — kolonii portugalskiej. Z zawodu jest nauczycielką. Ogłasza utwory w czasopismach murzyńskich wydawanych w Mozambiku i Angoli, a także w antologiach literatury afrykańskiej.

NAJBLIŻSZYM prawdy miernikiem poczytności pisma jest chyba jego nakład. Który tygodnik kulturalny, wychodzący w kraju, cieszy się największą poczytnością? „Przegląd Kulturalny"? „Nowa Kultura"? „Życie Literackie"? „Współczesność"? Gdzież tam! Najbardziej popularnym okazuje się rzeszowski tygodnik „Widnokrąg". Jego nakład liczy mniej więcej tyle, co łączna liczba egzemplarzy czterech wyżej wymienionych periodyków.

Hm! Budzą się przekorne refleksje. Panowie, czapki z głów! Albo jesteśmy świadkami fenomenalnego triumfu rzeszowskiej kultury, cudu nad Wisłokiem, albo też przedmiotem zręcznej mistyfikacji.

Siedemdziesiąt tysięcy nakładu! Hurra! Zwycięstwo!

...Lecz skąd u mołojca ten smutek hiszpański? — zapytałby w tym miejscu poeta. A no stąd, bo najwyższy już czas postawić zasadnicze pytanie: moiściewy, nie szkoda to papieru?

Oczywiście domyślam się twardej repliki: Nie szkoda, ot co!

Pozwólcie, że spróbuję uzasadnić odmienne przekonania w tej kwestii. W całym kraju ukazuje się systematycznie kilkaset różnych czasopism. Nikt nikogo nie może za to winić, że nawet nie zna wszystkich ich tytułów. Trudno mieć na przykład pretensje do naszych rzeszowskich poetów debiutantów, że nie czytują systematycznie „Gromady — Rolnika Polskiego" aby dowiedzieć się coś o kiszonkach na zimę. Podobnie nie należy mieć zastrzeżeń do oryginalnej postawy chłopa spod Ustrzyk, który jakoś nie odczuwa duchowego głodu za intelektualną poezją Białoszewskiego. Trudno się dziwić, że nie traci dobrego samopoczucia gdy zaniedba przeczytanie fachowej recenzji teatralnej, eseju o poznawczych wartościach sztuki niefiguratywnej czy publicystycznych zwierzeń na temat stężonej ekspresji w muzyce konkretnej.

Podobne podejrzenia żywię również w stosunku do innych środowisk społecznych województwa rzeszowskiego. Jedni nie czytują lokalnego periodyku kulturalnego dlatego, ponieważ tego rodzaju problematyka interesuje ich w minimalnym stopniu, drudzy — mam na myśli środowiska rzeszowskiej inteligencji — zaniedbują tę lekturę z całkiem innych względów. Po prostu czterostronicowy tygodnik wygląda jakoś śmiesznie i żałośnie; nakłonić kogoś o znanym nazwisku i autorytecie do współpracy z tym skromnym pisemkiem, to diabelnie trudna sprawa.

— Ho, ho! — za daleko się waść posuwa! — usłyszę z pewnością sąd redaktora naczelnego. — I ten artykuł mamy puścić na łamy „Widnokręgu"? Podcinać gałąź?

W tym miejscu tęskny wzrok naczelnego niewątpliwie spocznie na redakcyjnym koszu. Aby go odwieść od takich szablonowych zamiarów, rezygnuję natychmiast z kontynuacji tego rodzaju wywodów. Zmieńmy temat. Pogawędźmy sobie trochę na przykład o kulturalnym eksperymencie Olsztyna czy Zielonej Góry. Niech będzie o Zielonej Górze; tam mają dobre wina.

POCHWAŁA RZETELNEJ ROBOTY

Województwo zielonogórskie posiada niemal dwa razy mniej ludności niż Rzeszowszczyzna. Również stolica tego regionu jest dużo mniejsza niż Rzeszów. Wniosek: baza czytelnicza bardzo skromna, skromniejsza niż u nas.

Pięć lat temu garstka młodych zapaleńców postanowiła rozruszać,

Stanisław Rams

Ponoć nasi biją w tarabany...

(Artykuł dyskusyjny)

ożywić kulturalne ugory województwa. Pewnego wieczoru, gawędząc przy szklaneczce zielonogórskiej „Cory", zaproponowano założyć Lubuskie Towarzystwo Kultury. Władze lokalne przyklasnęły tej inicjatywie. Tak się zaczęło.

Opracowano statut, powołano zarząd, sekcje, oddziały w terenie. Jak łatwo się domyśleć, celem działalności Towarzystwa jest wyzwalanie i pobudzanie inicjatywy społecznej w województwie, troska o prawidłowy rozwój życia kulturalno-oświatowego, naukowego, artystycznego, czynne popieranie i upowszechnianie dotychczasowego dorobku regionalnej kultury, współudział we wszystkich pracach nad wytyczaniem i kształtowaniem lokalnej polityki kulturalnej.

Lubuskie Towarzystwo Kultury ma charakter federacyjny; skupia obecnie tysiąc pięćset indywidualnych członków oraz trzydzieści różnych powiatowych i gromadzkich stowarzyszeń, kółek artystycznych, zespołów pieśni, tańca, muzyki, miłośników literatury pięknej. Na przykład członkiem tej wojewódzkiej organizacji jest prężnie rozwijające się Towarzystwo Ziemi Krośnieńskiej, posiadające między innymi sześć klubów wiejskiej inteligencji. Należy tutaj bardzo aktywne Gorzowskie Towarzystwo Miłośników Sztuk Pięknych, Towarzystwo Literatury Pięknej w Gubinie, a nawet Bractwo Rybackie z Podmokla — najstarsza organizacja ce howa o 300-letniej tradycji.

Inspiracja, pomoc materialna, współpraca w urządzaniu imprez — oto główne obowiązki Lubuskiego Towarzystwa Kultury w stosunku do członków — zespołów regionalnych.

Najwyższą władzą Towarzystwa jest sejmik zwoływany raz na trzy lata, a organem wykonawczym — Rada Towarzystwa wraz z jej prezydium. Powołano do życia kilka sekcji; każda z nich może się pochwalić dużymi osiągnięciami.

Do najbardziej żywotnych zalicza się sekcję wydawniczą. W ciągu swego czteroletniego istnienia wydała ona 30 pozycji książkowych o łącznym nakładzie 120 tysięcy egzemplarzy. Niektóre książki otrzymały nagrody ogólnokrajowe, jak np. „Dąbrówka pod okiem hitlerowskiego żandarma" Wiktora Lemiesza — nagroda „Polityki", czy też Tadeusza Kajana zbiór reportaży „Fakty i ludzie" — nagroda „Życia Literackiego".

Oprócz prac popularnonaukowych, wydanych oczywiście własnym nakładem, ukazały się w witrynach księgarskich lubuskie tomiki poetyckie ludzi, którzy zaczęli pisać dopiero pod wpływem sprzyjającej, ożywczej atmosfery w tymże Towarzystwie. Warto tu chyba odnotować m. in. tomik Janusza Koniusza „Tempo krążenia", Bolesława Solińskiego „Pryzmaty", Henryka Szylkina „Kolory wzruszeń", Bronisława Suzanowicza „Spowiedź liryczna".

Dobrze pracuje sekcja lubuskiego filmu. Młodzi amatorzy, zgrupowani w tej sekcji LTK nakręcili 15 filmów krótko i średniometrażowych. Sporą część tej produkcji zakupiła warszawska telewizja. Obecnie kręcą film dokumentalny o ciekawym regionie — Babimojszczyźnie.

Powstanie przed kilku laty organu Lubuskiego Towarzystwa Kultury — miesięcznika „Nadodrze" — to osobny rozdział historii. Nikt

(Dokończenie na str. 4)

Hobby z perspektywą

(Ciąg dalszy ze str. 1)

naszego województwa. A zobaczyć choćby na ekranie to jednak coś więcej niż usłyszeć przez radio czy przeczytać w gazecie.

Oczywiście, nie wystarczy powiedzieć AKF-om: róbcie to lub tamto. Trzy kluby, borykające się z dużymi trudnościami technicznymi, nie podołają tak wielkiemu zamówieniu. Trzeba zwiększyć liczbę AKF-ów, zainteresować nimi nie tylko związkowe — jak to jest dotychczas — ale i powiatowe domy kultury, trzeba przede wszystkim stworzyć warunki dla rozwoju amatorskiego ruchu filmowego.

A stworzyć warunki to nie tylko kupić kamerę, kilka rolek taśmy filmowej i podarować to jakiejś grupie ludzi, jak zrobiono niegdyś w Trzcianie. Kiedy nakręcono tam pierwsze filmy okazało się, że nie ma ich gdzie wywołać, a na zapłatę za wywołanie w łódzkim laboratorium brakło pieniędzy. Odłożono więc kamery i na tym się skończyło.

Stworzyć warunki, to zabezpieczyć niezbędny sprzęt dla laboratoriów klubowych, ułatwić początkującym amatorom pracę przez pomoc w obróbce chemicznej (bardzo żmudnej i pracochłonnej), nadać działalności klubów bardziej zorganizowane formy oraz umożliwić ich członkom podnoszenie wiedzy nie tylko technicznej, ale również w zakresie historii i estetyki filmu.

Takich warunków i takiej pomocy nie jest w stanie dać klubom Federacja Amatorskich Klubów Filmowych, która poza organizowaniem przeglądów filmów ogranicza się do kolportażu swoich biuletynów i „Kinotechnika". Warto, nie oglądając się na tzw. szczebel centralny pokusić się o to we własnym, wojewódzkim zakresie. Zacząć można choćby od dyskusji (chętnie służymy naszymi łamami), następnym etapem mógłby być przegląd filmów rzeszowskich AKF-ów, utworzenie wojewódzkiego ośrodka kierowniczego i opiekuńczego, ścisła koordynacja działalności klubów i pomoc w dalszym ich rozwoju.

Sprawa jest warta zachodu i województwo rzeszowskie, które w pracy kulturalnej wykazało się pięknymi inicjatywami, również w tej nowej, jak najbardziej zgodnej z duchem czasu dziedzinie, którą jest filmowy ruch amatorski, może osiągnąć także piękne rezultaty.

WITOLD SZYMCZYK

ADOLF JAKUBOWICZ — z cyklu „Bieszczady"
III nagroda w Konkursie Plastycznym pod hasłem „Ziemia rzeszowska w minionym szesnastoleciu",

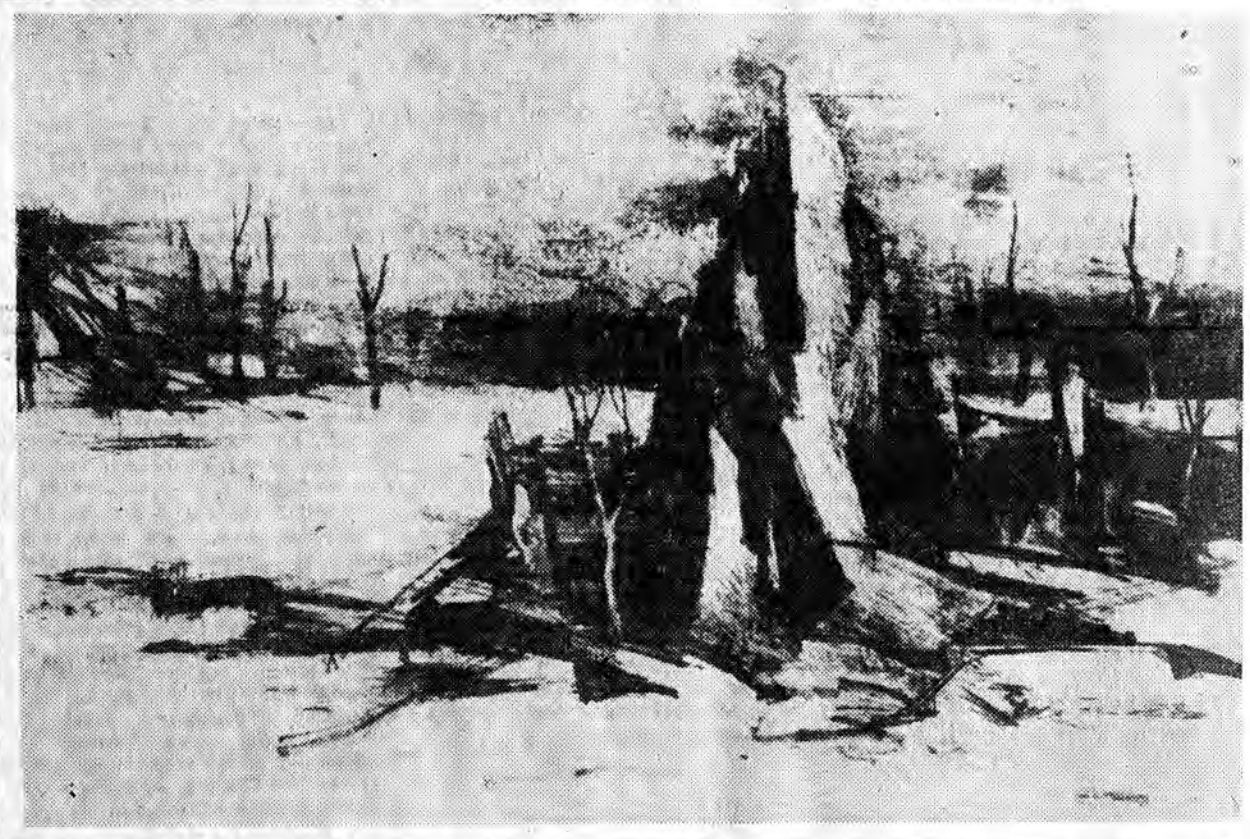

DO MOSKWY „Pociąg Pokoju Przyj przywozi w przeddz chodów 44 rocznicy Rewolucji Październikowej ponad 300 uczestników. Nasze przypuszczenia, że „zgubimy się" w wielotysięcznym tłumie gości z rozmaitych stron świata, okazują się całkowicie płonne. Oczekiwano przybycia „Pociągu" nie tylko na wielkim mityngu, ale przemyślano wszystko organizacyjnie w najdrobniejszych szczegółach. Szybko rozlokowujemy się w hotelu „Bukareszt", który aczkolwiek nie największy i najnowocześniejszy, jest wygodny, ciepły, co dla nas najbardziej atrakcyjne, jest blisko Kremla i centrum.

Wraz z tłumami moskwiczan, wraz z tysiącami ludzi obciążonymi świątecznymi zakupami, dźwigającymi walizki świadczące o przebytej co dopiero podróży, której celem jest Moskwa, rzucamy się, bez przenośni, w wir olbrzymiego miasta. Jest w nim jakiś urok, coś nieuchwytnego w atmosferze, co powoduje, że przybysze czują się tu od razu jak w domu. Zaraz też pierwszego wieczoru, po zwiedzeniu miasta autokarami, po wstępnym zapoznaniu się z jego zabytkami i nową architekturą zagłębiamy się w „Uniwermag" — gigantyczny Dom Towarowy, do którego tak bliziutko z naszego hotelu. Na stoiskach — barwne karty ze świątecznymi życzeniami i zwięzłym poradnikiem, jaki wybór podarunków przygotował Dom z tej okazji. Nie sposób oprzeć się magii tanich a bardzo nowoczesnych i pięknych aparatów fotograficznych, filmowych przemyślnych lamp elektronowych dla fotografiki. Wśród kupujących wiele młodzieży. Ekspedientka obsługuje uprzejmie, lecz stanowczo jeśli stwierdzi, że aparat ma gwarancję i przeglądnie go wprawnym okiem, wszelkie dalsze zapytania uważa raczej za zbędne czy wręcz nietaktowne. Kobiety nie mogą się oprzeć kolekcji tanich odkurzaczy, froterek, kombajnów i robotów do prac domowych.

* * *

Jest ciepły wieczór. Miasto jarzy się morzem świateł. Płonące neony, napisy świetlne głoszące fragmenty uchwał XXII Zjazdu KPZR. Na Placu Czerwonym zakończono ostatnie przygotowania do jutrzejszej defilady. Od rana do późnych godzin wieczornych wielotysięczne tłumy przechodzą przez Mauzoleum Lenina. Plac przyozdobiono mnóstwem czerwonych kwiatów. Wielka świetlna rakieta to świeci się, to przygasa, jakby niknąc w granacie nieba, to znowu rozbłyskuje tysiącem elektrycznych świateł. Ze starszymi — dzieci już z balonami w ręku, z pękami czerwonych i rdzawych liści jesiennych.

* * *

Po powrocie do kraju widziałam w polskiej kronice filmowej fragment defilady i manifestacji. Kronika ukazuje potęgę i ogrom tej defilady. Jednakże ciemne zdjęcia nie oddają nastroju Moskwy z tego dnia. Uczestnikom „Pociągu" wyznaczono znakomite miejsce, przed wielkim hotelem „Moskwa", skąd widzieliśmy doskonale całą manifestację. Już pierwsza grupa manifestantów która zatrzymała się tutaj zasypała nas pytaniami, kiedy przyjechaliśmy, jak długo zostajemy itp. Nie trwało długo, gdy między manifestantami a uczestnikami „Pociągu" zawiązały się wesołe rozmowy, prowadzone w języku rosyjskim i polskim. Od pierwszych słów do podarunków wcale niedaleko. Chłopczyk niesiony przez ojca na ramionach szybko zeskoczył, podbiegł do naszej delegacji i z rozbrajającym uśmiechem wręczył nam dwa swoje piękne balony. Za chwilę to samo zrobiła młodziutka robotnica. A wkrótce potem następna grupa z moskiewskiej fabryki obdarowała nas dziesiątkami pamiątkowych znaczków, zaś mała dziewczynka ofiarowała nauczycielce z Torunia kosztowną czekoladę w formie złotego rubla. Byliśmy tymi dowodami sympatii nieco zażenowani, gdyż nie pomyślano w „Pociągu" o tym, byśmy mieli czy chorągiewki czy też znaczki polskie lub inne drobiazgi, by ofiarować je w rewanżu, którego zresztą nikt nie oczekiwał. Kolejna grupa, której postój w naszym pobliżu zapowiadał się dłużej, zaproponowała, byśmy razem coś zaśpiewali Krótka narada i wspólny wybór padł na „Wieczór na redzie". Wyszło nam to bardzo dobrze.

Po południu w sali hotelu „Moskwa" jesteśmy gośćmi radzieckiego Komitetu Obrońców Pokoju. Obiad jest bardzo uroczysty, połączony z tańcami.

Tego wieczoru nasza delegacja jest dosłownie rozrywana: dziennikarzy oczekują na spotkaniu w moskiewskim Domu Dziennikarza. Przedstawiciele kultury i sztuki zaproszeni są do Domu Pracowników Kultury. Inni znowu oczekiwani są w Domu Oficera. Szczęśliwa, iż w tym niezwykłym dniu otrzymałam bilet, udaję się przez tętniące świątecznym gwarem miasto, do Teatru Wielkiego na przedstawienie współczesnego baletu Karejewa „Droga gromu". Wspaniały teatr pełen jest ludzi do ostatniego miejsca. „Droga gromu" to poprzez całkowicie współczesny taniec opowiedziana walka kolonialnego kraju. Gdy pełna wrażeń wracam do hotelu, wokół Kremla nieprzebrane mrowie ludzi. Na moście młode pa-

MODLITWY ŻOŁNIERZY HITLEROWSKICH

MOJE WSPOMNIENIA wojenne nie układają się, jak u niektórych ludzi, w ciąg chronologicznie uszeregowanych i uporządkowanych zdarzeń. Dziś żyją tylko te, które przeżywałem całym sobą, które budziły najżywsze poruszenie, a przede wszystkim te, których po prostu nie mogłem w owym czasie myślowo opanować, a sam fakt natrętnie i uporczywie się tego domagał.

Jednym z takich przeżyć była msza dla dość dużego oddziału żołnierzy niemieckich odprawiona przez młodego, katolickiego kapelana w jednej z podrzeszowskich miejscowości. Msza z kazaniem, które we fragmentach rozumiane, a z intonacji odczute musiało być bardzo „bojowe".

Nie mogłem wtedy młodzieńczą refleksją wiedziony połączyć tych dwu zjawisk: hitlerowskich zaborców i znaku krzyża, z którym wtedy jeszcze byłem przez tradycję rodzinną związany.

Po wielu latach „opadania zasłon" zobaczyłem kulisy owej sceny, na której wyreżyserowano wszystko, co trzeba, by żołnierze lepiej się bili, by utoczyli jak najwięcej krwi innych narodów dla dobra jednego, lecz „wybranego narodu panów".

Już od tej pierwszej mszy, w której uczestniczyłem jako chłopiec, zadawałem sobie pytanie, jak też modlą się żołnierze — katolicy, którzy podbijają inne kraje.

I oto przypadek zrządził, że znalazła się w moich rękach mała książeczka.

Niemiecka książeczka ze złowrogim rycerskim krzyżem ma frapujący tytuł: „Katholisches Feldgesangbuch". Jest to więc modlitewnik frontowy żołnierzy hitlerowskich wydany w Berlinie w Verlag E. S. Mittler und Sohn — Berlin S. W. 68.

Brak wstępnej kartki uniemożliwia ustalenie daty wydania. Są to jednak już prawdopodobnie lata wojny na froncie wschodnim, o czym świadczyć może modlitwa w czasie wielkich mrozów.

Zawartość tego modlitewnika jest nader interesująca. Dzieli się na trzy części z licznymi rozdziałami. Część pierwsza — jak na modlitewnik jest zaskakująca — dotyczy bowiem niemieckiego żołnierstwa. Znaleźć w niej można następujące rozdziały: obowiązki niemieckiego żołnierza, przysięga na wierność żołnierzy niemieckich, fragmenty listów dzielniejszych żołnierzy hitlerowskich.

Część drugą stanowią modlitwy i rozmyślania, w których znajdziemy bardzo znamienną modlitwę za Führera, naród i siły zbrojne. W kolejności idą modlitwy związane z walką żołnierzy, znajdzie się tam modlitwa w obliczu niebezpieczeństwa, w obliczu śmierci, modlitwa dla umierających, jak również modlitwa w czasie wielkich mrozów.

W części trzeciej pomieszczono pieśni mające charakter próśb religijnych i pieśni błagalne. Tu frapują niektóre tytuły: „Panie! Pobłogosław naszą broń", „Pozdrawiamy Cię w pieśni bitewnej" czy „Chwała Ojczyźnie niemieckiej". A oto wybrane fragmenty modlitewnika:

PRZYSIĘGA NA WIERNOŚĆ ŻOŁNIERZY NIEMIECKICH.

„Składam wobec Boga tę świętą przysięgę, że będę bezwzględnie posłuszny Führerowi niemieckiego państwa i narodu, Adolfowi Hitlerowi, naczelnym dowódcom sił zbrojnych oraz, że, jako odważny żołnierz niemiecki, pomny na tę przysięgę, gotowy będę do oddania swego życia".

WIERNOŚĆ AŻ DO ŚMIERCI.

Oto jest wojna w swoich najokrutniejszych formach i w najwyższym napięciu odczuwana bliskość Boga. Pozostaje jedynie głęboka powaga. Ale ja jestem wewnętrznie wolny i wesoły: to piękna chwila — oglądać Boga. Nie lękam się sądu. Jestem wprawdzie błądzącym synem człowieczym, ale jakże wielka jest łaska Boga!!

Dlatego wykonuję z ufnością i spokojem mój obowiązek wobec Ojczyzny, dla ukochanego narodu niemieckiego.

WIARA W ZMARTWYCHWSTANIE

Moje miejsce — to front, ale jakże ciężko tam żyć. Padnę, lecz cóż to znaczy! Rankiem zabrzmią dzwony zmartwychwstania — jakaż to piękna nadzieja. Wszyscy musimy umrzeć, ale nie ma wspanialszej śmierci — jak na polu bitwy w wiernym wpełnianiu obowiązków.

MODLITWA ZA FÜHRERA, NARÓD I SIŁY ZBROJNE.

W Twoich rękach, o Boże, spoczywają rządy wszystkich państw i narodów tej ziemi. Pobłogosław nasz naród niemiecki w Twojej dobroci i sile i obdaruj nasze serca głęboką miłością do naszej Ojczyzny. Pozwól nam być bohaterskim pokoleniem, byśmy się stali godnymi naszych przodków. Pozwól nam zachować wiarę naszych ojców jako święte dziedzictwo. Pobłogosław niemieckie siły zbrojne, które powstały, by bronić pokoju i ochraniać ojczyste ognisko. Daj wszystkim żołnierzom siły do największych ofiar dla Führera, Narodu i Ojczyzny.

Pobłogosław przede wszystkim naszego Führera i naczelnych dowódców we wszystkich zadaniach, jakie przed nimi stają. Pozwól nam pod jego dowództwem w poświęceniu dla Narodu i Ojczyzny widzieć święte zadanie, byśmy przez wiarę, posłuszeństwo i wierność — zasłużyli na wieczne zbawienie w kręgu Twojego światła i pokoju. Amen.

Z PIEŚNI.

Panie! Pobłogosław naszą broń!

Panie! Pobłogosław naszą broń i nie pozwól nam nigdy spocząć. Pobłogosław nasze czyny i nasz trud. Prowadź nas ku zwycięstwu przez biedę, śmierć i niebezpieczeństwo. Panie! Pobłogosław nasze wzmagania i Twoją waleczną drużynę.

Wyzwól nas od złego, a pozwól świecić Twojej chwale. Tchnij w nas Twojego ducha. Tylko Twoje przykazania chcemy wypełniać z pokorą. Zespól nasze pragnienia całkowicie z Twoimi.

Chcemy wreszcie odważnie kroczyć z wolą walki naprzód, a Ty Panie, będziesz nas prowadził, staniesz się naszym wodzem.

Prowadź nas ku zwycięstwu przez biedę, śmierć, niebezpieczeństwo, pobłogosław nasze wzmagania i bojowy zastęp.

OTO jeszcze jeden z przykładów, jak człowiek tworzy Boga na własny użytek. Hitleryzm miał na własny użytek Boga siły, do którego zwracano się, by błogosławił zbrodniarzowi, jakiego nie znała historia — Adolfowi Hitlerowi.

Wiara, posłuszeństwo, wierność typu religijnego sprzęgły się i przemieszały z tymi samymi kategoriami typu nacjonalistycznego, co bardzo wyraźnie dostrzec można w modlitwie za Führera, naród i siły zbrojne, a co miało służyć idei wojny.

Ideały religijne — wiara w życie pozagrobowe i zmartwychwstanie obezwładniały ludzkie odruchy, miały służyć zaborczej agresywności. Wiele listów można sprowadzić do zasadniczej formuły: chociaż zginę będę żył wiecznie.

Ten modlitewnik — to jeszcze jedno ze smutnych świadectw czasu nieludzkiego. Przypominają się słowa Mieczysława Jastruna, o grozie rzeczy niewidzialnych, o nieludzkim charakterze tworzonych przez człowieka abstrakcji. Tłumy ogarnięte ziemskimi celami tworzą na własny użytek, swoim celom podporządkowane, oblicze Boga, Boga — okrutną abstrakcję. Hitleryzm w swych zbrodniczych dążeniach powołał do życia boga siły i to jest także prawda o walczącym katolicyzmie niemieckim czasu wojny.

Tłumaczył i opracował
JÓZEF NOWAKOWSKI

Chałupy „na obwiąz" (przysłupowe) z Markowej, XIX wiek.
Foto: FR. KOTULA

Moim zdaniem — najpilniejsze!

W związku z tym, że urbanizacja rzeszowskiej wsi postępuje milowymi krokami, a sprawa parków etnograficznych (muzeów skansenowskich) posuwa się żółwim krokiem, muzea zaś na naszym terenie są małe i żadne z nich nie posiada odpowiednich pomieszczeń magazynowych — problem ochrony zabytków budownictwa drewnianego musi być gruntownie przemyślany i przepracowany.

Unowocześnienia wsi polskiej powstrzymywać nie można i nie wolno. Wieś rzeszowska muruje się pospiesznie i zrywa z przeszłością. Podział klasowy dał się szczególnie we znaki rzeszowskiemu chłopu, chce on się więc pozbyć nawet jego wspomnienia. Stąd piękne i tradycyjne sprzęty ustępują miejsca standardowym miejskim meblom, z wielką szkodą dla polskiej kultury ludowej, która budzi tyle entuzjazmu u... obcych.

Modernizacja zabudowy rzeszowskiej wsi idzie dwoma torami: albo na miejscu dawnych drewnianych budynków stawia się nowe murowane, albo przebudowuje się stare tak, żeby ich nie poznał rodzony ojciec — cieśla. Z tego powodu nikt szat drzeć pewno nie będzie, ale że w tym rozmachu wkrótce zupełnie znikną obiekty nie tylko bardzo ciekawe pod względem formy architektonicznej, ale i cenne dokumenty historyczne — naprawdę żal serce ściska. Mam tu na myśli takie formy z terenu Rzeszowiaków (okolice Rzeszowa, Łańcuta i Przeworska), jak „chałupę przysłupową" i „zagrodę z rynkiem". Wprawdzie podobne formy występują i gdzie indziej, ale tutejsze są bardzo specyficzne i jedyne w swoim rodzaju. A co najciekawsze, że możemy określić ich genezę.

W II połowie XIV wieku na określonym wyżej terenie miała miejsce kolonizacja, dotychczas nazywana niemiecką, faktycznie osadnicy przyszli ze Śląska i Łużyc, a więc z terenów polskich i słowiańskich. W tamtym czasie słowiańska Saksonia była już w znacznej mierze zgermanizowana, ale zniemczeni nawet Łużyczanie i Ślązacy przynieśli do nowych siedzib swoją własną południowo-zachodnio słowiańską kulturę. „Zagroda z rynkiem", w której wszystkie budynki stanowiły czworobok z podwórkiem pośrodku, jest jedną z najstarszych form budownictwa drewnianego na wsi. Siła tradycji jest ogromna. W okolicach Łańcuta i Przeworska, nawet w całkowicie murowanych zagrodach zachowuje się „rynek". Ale nie jest to już ta dawna monumentalna forma w czystej postaci. Jeszcze przed kilkunastu laty było ich sporo. Narzuca się wprost ażeby zanim wszystkie okazy znikną, wytypować kilka bodaj obiektów, kilka odmian, zakonserwować je na miejscu i oddać użytkownikowi, z warunkiem, że nie będzie czynił na własną rękę żadnych przeróbek. To jest do zrobienia i to trzeba koniecznie przeprowadzić.

To samo odnosi się również i do chałup przysłupowych. Jeszcze bezpośrednio po wojnie widziało się bardzo dużo klasycznych obiektów, a więc z dachami czterospadkowymi, krytymi słomą. Co więcej, widziałem nowo postawioną przysłupową chałupę, ale już miała dach dwuspadkowy, a kryta była dachówką. W ten sposób nawet subtelnie przerabia się okazy, które szczęśliwym zbiegiem okoliczności dochowały się do dziś. Mimo wszystko można jeszcze znaleźć pewną liczbę okazów, które niewielkim nakładem dałoby się przywrócić do pierwotnego stanu. Takie przedsięwzięcie wydaje się więc wprost konieczne. Jest przysłowie: „Mądry Polak po szkodzie". Czy nie można by pójść raz przeciwko przysłowiu?

FRANCISZEK KOTULA

---

ry mówią do siebie językiem zakochanych. Chyba nie przesłyszałam się. Ktoś mówi całkiem głośno do dziewczyny w koronkowym szalu na głowie: Nina, kocham cię...

* * *

I nazajutrz dzień świąteczny. Widać to po ruchu w mieście.

„Spotkaniem" z piętnastoma republikami Związku Radzieckiego określiłam w swych notatkach wrażenia z Wystawy Osiągnięć Gospodarczych ZSRR. Jest to monumentalna stała wystawa, na której każda z republik ma swój, o odrębnej architekturze pawilon. Wokół pawilonów pokazano maszyny rolnicze, budowlane, a także najautentyczniejsze samoloty.

Na rozległym wystawowym placu, obok małych pakownych autobusików przewożących dorosłych pasażerów, są również i stare poczciwe „trójki" koni, wożące dzieci na spacer. Główny pawilon wystawy stanowi coś w rodzaju bardzo czytelnej przedmowy do całości ekspozycji. Wielkie mapy z siecią zapalających się światełek obrazują wytyczne planów gospodarczych do roku 1980. W bieżącej 7-latce oddanych będzie na terenie ZSRR 7 tysięcy nowych obiektów fabrycznych, z czego 3 tysiące są już włączone do produkcji. Równie sugestywna jest sala ukazująca kierunki rozwoju gospodarki rolnej.

Aczkolwiek jestem przeciwnikiem monumentalnej fotografii, stwierdzić muszę, że tutaj wielki montaż fotograficzny, ukazujący grupę studentów na tle Uniwersytetu Łomonosowa robi imponujące wrażenie. Zapomina się zresztą o nim natychmiast, wobec wrażeń, jakie nawet laik z dziedziny nowoczesnej techniki i astronautyki wynosi z pawilonu nauki. Osiągnięcia ZSRR w dziedzinie podboju kosmosu, tutaj oglądać można nieomal dotykalnie. Obchodzimy więc w koło pierwsze sputniki, pierwsze latające laboratorium kosmiczne. Równocześnie, na taflach ekranów telewizyjnych oglądamy filmy, poświęcone doświadczeniom ze zwierzętami, które wystrzelono w rakietach kosmicznych. Z pawilonu republiki uzbeckiej nasi uczestnicy wynoszą malutkie pęki kwitnącej bawełny. Ciężkie girlandy winogron, złociste pomarańcze, przepastne kosze rumianych jabłek, zdobiące wystawę, każą zapomnieć, że na dworze prawie zima, że prószy nawet lekki śnieżek. A oto pawilon radiotechniki, cały skonstruowany z telewizyjnych ekranów, przenosi nas w świat „doraźnej" telewizji: dopiero co przekroczyliśmy próg, a już kilkanaście ekranów telewizyjnych pokazuje naszą grupę w zbliżeniach, en face, z profilu.

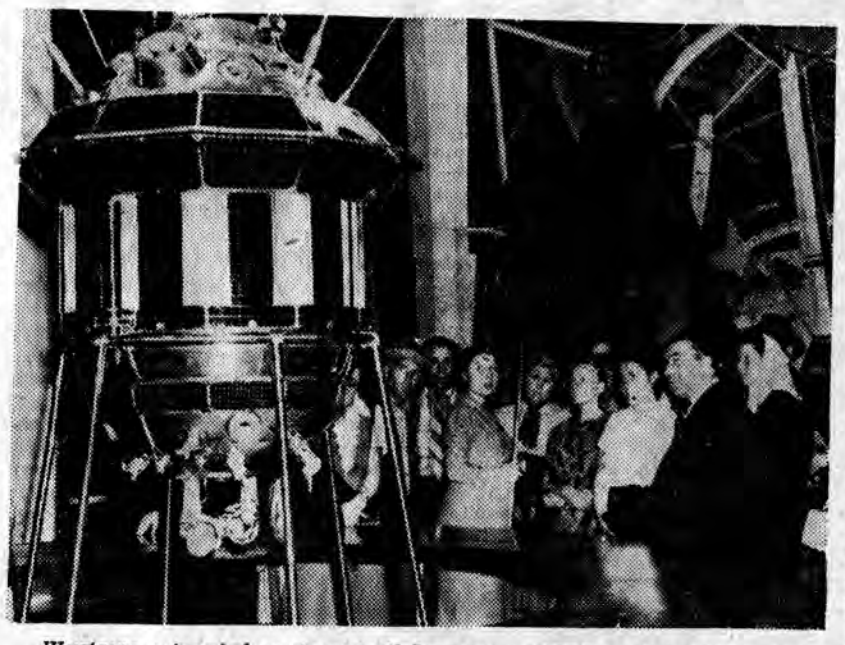

Wystawa osiągnięć postępu technicznego w ZSRR: model stacji międzyplanetarnej w Pawilonie Akademii Nauk.

Na koniec tego urozmaiconego przedpołudnia jesteśmy uczestnikami filmowego pokazu w kino-panoramie. Z 11 ekranów biegnących wokół wnętrza kolistego kina barwny świat otacza nas w koło. To nieprawda, że jesteśmy w kinie. Wraz z kinooperatorem przejeżdżamy ulice Wiednia, gdyż jesteśmy uczestnikami Międzynarodowego Kongresu Młodzieży i Studentów. Brzmi piękny straussowski walc, a my pod naporem panoramicznych wrażeń, to przystajemy, to znowu — gdy samochód hamuje — gwałtownie przechylamy się w prawą i lewą stronę. Tego jeszcze nie było — szepczą najzatwardzialsi nawet cynicy, doświadczeni wyjadacze zagranicznych wojaży. Wychodzimy na przedkinowy plac wystawowy, nucąc wiedeńskiego walca. Nuci go, troskliwie prowadzona przez syna, stara kobieta w ciepłym zimowym płaszczu. Sypie gęsto śnieg. Wszyscy rzucają się do wózków ze śmietankowymi lodami. Jesteśmy w Moskwie.

C. BŁOŃSKA

Na łyczakowskim cmentarzu

(KORESPONDENCJA WŁASNA ZE LWOWA)

Promienie zachodzącego wrześniowego słońca, odbijają swój blady blask na liściach drzew. W powietrzu unosi się cisza mącona co pewien czas świergotem ptaków i przyciszonymi ludzkimi głosami. Na łyczakowskim cmentarzu we Lwowie natchniony nastrój jesieni. Przez cmentarną bramę wchodzą i wychodzą małe grupki osób, ludzi młodych i starszych. Rozglądają się wśród cmentarnych wąskich ścieżyn, a następnie odnalazłszy cel — mogiłę krewnych lub znajomych, długo stoją i chyba ich wspominają.

Wspominają też może historię. Cmentarz łyczakowski, to właśnie otwarta nic nie skrywająca księga historii. Są tu bogate marmurowe pomniki polskich hrabiów i feudałów, którzy nie zasłużyli sobie na miłość ani obecnych mieszkańców tej ziemi, ani na sympatię narodu, którego przedstawicielami usiłowali się mienić. Ale są tu również mogiły i pomniki, wokół których z żalem i szacunkiem przechodzi zarówno Polak, jak Ukrainiec i Rosjanin. Grupka młodzieży w wieku szkolnym złożywszy bukiety kwiatów przed pomnikiem ukraińskiego bohatera narodowego, poety i działacza społecznego Iwana Franko, zatrzymuje się nad mogiłą Jarosława Gałana, dziennikarza i literata, bojownika o wolność społeczną i narodową Ukrainy. Temu młodemu człowiekowi, zadana przez faszystów skrytobójcza śmierć przerwała bogate życie w 1939 r.

O parę kroków dalej w zacisznej altance wśród liści rozłożystego klonu i krzewu dzikiego wina stoi pomnik naszej poetki — Marii Konopnickiej. U jego stóp świeże kwiaty. Jej grób odwiedzają nie tylko uczniowie 3 polskich szkół we Lwowie, ale również Ukraińcy i Rosjanie.

Leonid Wasylewicz Stupnickij, naczelny redaktor „Wilnej Ukrainy" oprowadzający mnie po cmentarzu opowiada, że obchody 50 rocznicy śmierci Marii Konopnickiej w roku ubiegłym, były głośnym wydarzeniem kulturalnym. Uświetniły je uroczyste wieczornice i odczyty, podczas których recytowano jej wiersze, zapoznawano tamtejsze społeczeństwo z życiem i twórczością poetki. Imprezy te cieszyły się dużą popularnością.

Kiedy wraz z moimi lwowskimi przyjaciółmi jechałem do hotelu „Inturist", przed pomnikiem Adama Mickiewicza we Lwowie na placu noszącym jego imię, stała wycieczka z Polski. Nasi rodacy oprowadzani przez przewodnika Ukraińca z uwagą słuchali jego informacji o przebiegu co tylko zakończonej na Ukrainie dekady książki polskiej. Leonid Stupnickij i tow. Aleksiej Kowalow redaktor „Lwowskiej Prawdy", którzy osobiście interesowali się przebiegiem dekady stwierdzają, że była to impreza o wielkim zasięgu i rozmachu. W czasie jej trwania sprzedano setki egzemplarzy polskich książek, zarówno literatury klasycznej, jak i współczesnej. Przyczyniła się ona na pewno do bliższego zapoznania radzieckiego czytelnika z naszą literaturą i dobrze przysłużyła się do umocnienia przyjaznych więzi polsko-radzieckich. Pomniki naszych wielkich poetów, pieczołowicie chronione i otoczone opieką przez współczesne społeczeństwo Lwowa, które tak bardzo wzruszają każdego Polaka, to symbole łączących nas dobrosąsiedzkich stosunków.

WŁADYSŁAW ŚWIDRAK

MGR INŻ. ARCHITEKT LUDWIK PISAREK

rys. J. Sienkiewicz

Ponoć nasi biją w tarabany...

(Dokończenie ze str. 2)

nie chciał wierzyć w możliwość jego egzystencji. Nie było przydziału papieru, brakowało na ów cel pieniędzy, poza tym — trudności lokalowe i personalne. Autorzy pisali artykuły częstokroć jedynie za lampkę wina lub przyjacielskie poklepanie po ramieniu. Miesięcznik powstawał w prywatnym mieszkaniu. W jaki sposób papier zdobywano — nie powiem, bo otrzymałem zakaz: buzię na kłódkę!

Upadały różne periodyki, miesięcznik „Nadodrze" przetrzymał różnych konkurentów. Od czterech lat pomyślnie się rozwija. Nakład z każdym kwartałem rośnie. Obecnie wychodzi w 8 tysiącach egzemplarzy. Pięć tysięcy stałych prenumeratorów! Jego objętość — 16 stron o formacie naszego „Widnokręgu".

Rozmawiałem ostatnio z redaktorem naczelnym „Nadodrza" — Bolesławem Solińskim. Zwierzył mi się ze swoich projektów:

— W przyszłym roku, jeśli nakład przekroczy 10 tysięcy, będziemy chcieli przejść z miesięcznika na dwutygodnik. A po kilku latach — być może — zaryzykujemy przejście nawet na tygodnik. Mamy przecież ugruntowaną bazę czytelniczą, silny aktyw współpracowników, czemu nie moglibyśmy się odważyć na tego rodzaju eksperyment?

— U nas w Rzeszowie wychodzi tygodnik! — chrząknąłem dumnie. — U nas, mój drogi, tygodnik ma niebanalny nakład: 70 tysięcy! Hę, co wy na to? Komu chcecie zaimponować?

Żeby nie było jakichś niedyskretnych pytań, z wielką godnością podniosłem się z krzesła i opuściłem gabinet ciekawskiego redaktora.

KOZIETULSCY, WYSTĄP!

Skoczył Kozietulski!... Ba, w Rzeszowie niełatwo jest podskoczyć, bo można uderzyć się głową o niski pułap... idealnej wprost obojętności. Nie mówiąc już o tym, że ta czynność bardzo męczy i rzeszowianie, ludzie na swój sposób praktyczni, wolą spokojnie usiąść przy kawiarnianym stoliku. Podskoki Kozietulskich wywołują raczej przykre zdziwienie.

Mimo podobnych przekonań pozwolę sobie wznieść okrzyk: Kozietulscy, wystąp!

Pora kończyć ten artykuł. Liczba wierszy ograniczona, dzwonią redakcyjne nożyce. Będę operował myślowymi skrótami. Czy nie warto wykorzystać zielonogórskich doświadczeń? Czy musimy raz po raz nawoływać się wzajemnie do konkretnej inicjatywy, zamiast po prostu zacząć działać? Ktoś musi postawić pierwsze propozycje; spróbuję to zrobić w tym artykule.

A więc w grudniu bieżącego roku, z inicjatywy wydziału kultury PWRN zostaje zwołany sejmik rodzącego się Rzeszowskiego Towarzystwa Kultury. Na sali obrad — przedstawiciele regionalnych stowarzyszeń, środowisk twórczych, przedstawiciele kompetentnych władz. Referat, dyskusja, opracowanie statutu, wybory tymczasowego zarządu, polityczny patronat przedstawicieli wojewódzkiej instancji partyjnej oraz hm! omówienie niektórych kwestii finansowych.

Od stycznia — metamorfoza „Widnokręgu" na samodzielny miesięcznik, organ powstającego Towarzystwa. Ograniczenie nakładu: 10—15 tysięcy egzemplarzy. Ogromne z tego powodu oszczędności papieru pozwolą na zwiększenie objętości periodyku do 16—24 stron.

Sejmik wyłoni spośród obecnych delegację, która wysłana w Zielonogórskie, zapozna się z doświadczeniami tamtejszych działaczy kulturalnych i przeniesie je na rzeszowski grunt.

I ostatnie słowa w tym artykule: zakończmy filozoficzno-koncepcyjne rozważania w kuluarach. Przenieśmy energiczną dyskusję na łamy rzeszowskiej prasy, a po zakończeniu polemik — przystąpmy natychmiast do realizacji swoich zamierzeń.

Bo znowu minie rok i... nic!

Brak odważnej inicjatywy, bierność wynikająca z obawy przed popełnieniem błędu — to społecznie bardzo groźny błąd.

STANISŁAW RAMS

Zdarzenia tygodnia

Muzeum Okręgowe w Rzeszowie zorganizowało ostatnio dwie wystawy. Objazdową wystawę archeologiczną p.n. „Rzeszowskie w zaraniu dziejów" oraz wystawę prac artysty plastyka Janiny Ożóg pt. „Koloryt dawnej wsi w szkicach temperowych i akwarelowych".

Prace J. Ożóg powstały w czasie jej pobytu na obozach naukowo-badawczych w ośrodkach: Raniżowskim i Łańcuckim.

• • •

W Rzeszowie gościła ostatnio Maria Bechczyc-Rudnicka, redaktor naczelny dwutygodnika kulturalnego „Kamena", który wychodzi w Lublinie. Celem wizyty było zaproszenie do współpracy z pismem rzeszowskiego środowiska literackiego. Ustalono, że jeden z grudniowych numerów „Kameny" będzie posiadał wkładkę 4-stronicową poświęconą naszemu województwu.

• • •

Organizacja wystaw artystycznych w naszym województwie przysparzała wiele kłopotów. Ostatnio za przykładem większych ośrodków kulturalnych Polski powołano w Rzeszowie Biuro Wystaw Artystycznych, które zacznie swą działalność od 1 stycznia 1962 r.

Na marginesie powołania BWA warto przypomnieć, że Wydział Kultury Prezydium WRN przewiduje zorganizowanie w 1962 r. 13 wystaw indywidualnych artystów-plastyków pracujących w woj. rzeszowskim.

• • •

W pierwszej dekadzie grudnia br. ukaże się w sprzedaży album pt. „Muzeum w Łańcucie". Wydawnictwo to zawierać będzie ponad 30 barwnych zdjęć, wykonanych przez pracowniczkę muzeum J. Kocową oraz słowo wstępne pióra mgr Jerzego Banacha.

Album wydany jest w języku polskim (nakład 40 tys. egzemplarzy) i w językach francuskim oraz rosyjskim (po 5 tysięcy każdy). Jest to pierwsze wydanie albumowe z przewidzianych trzech. Następne zawierać będą zdjęcia najbardziej wartościowych zabytków muzeum łańcuckiego oraz wnętrza zamku.

SZANOWNY REDAKTORZE!

W rubryce „Portrety", zamieszczonej w „Widnokręgu" nr 9 z dnia 26 bm. znalazło się sformułowanie, które może nasunąć przypuszczenie, że ja reżyserowałem „Świt nad Afryką". Uprzejmie informuję, iż we wspomnianym montażu poetyckim byłem tylko jednym z recytatorów.

Z poważaniem
ERAZM BUCHELT

Nie było słychać ani kroków na schodach, ani zgrzytu klucza w zamku. Nie brzęknął też zjadliwy ostry dzwonek — a jednak drzwi otwarły się i w progu stanął ojciec.

Poczułam, że obejmuje mnie fala gorąca — prąd nagły od końców stóp aż do twarzy, włosów, paznokci — serce zaczęło bić ciężko, powoli, do bólu: Ojciec, tatuś, tatuś wrócił!

Stał w progu nic nie mówiąc, jakby niepewny czy trafił tam, dokąd wejść zamierzał. Falujące włosy, z którymi toczył dawniej ciągłą walkę, aby leżały gładko, były tak samo czarne jak przedtem; oczy kryły błyszczące w wodnistym świetle marcowym okulary, ale wiedziałam, że są to te same oczy: niebieskie, inteligentne, ostre, a zawsze trochę smutne. Wydatny nos, o którym w rodzinie mówiło się, że jest żydowski — łagodne miękkie usta — to wszystko było twarzą ojca, który pewnego dnia znikł z naszego życia, jak mówią komunikaty o zaginionych: „wyszedł z domu i więcej nie powrócił". A teraz wraca — o Boże, wrócił, jest...

Podnoszę się na łóżku, w boku piekący ból, ale to nic, to nic. Tatusiu — mówię — tak się cieszę, wejdź, wejdź, nikogo teraz w domu nie ma, ale...

I nagle dostrzegam ten gwóźdź, ogromny, wbity w futrynę drzwi. Wbił go sam ojciec kiedy sprowadziliśmy się tutaj z naszymi tłumokami. Ten gwóźdź to szafa, wieszak na płaszcze dla całej rodziny. Ale teraz wisi tam tylko mój płaszcz, pierwszy cywilny, przerobiony z płaszcza matki. A na rękawie...

Drętwieję, ginę z przerażenia. Nie on nie może tego zobaczyć, co sobie o nas pomyśli, ach, jak go stamtąd odciągnąć, jak przeszkodzić...

Więc znów: Tatusiu — mówię — wejdź, siadaj! Tak długo czekaliśmy, tyle mam ci do powiedzenia — słuchaj...

(A przez ten cały czas trzymam go oczami, głosem, ruchem ręki). Pamiętasz tamten dzień, tatusiu? Był mroźny i słoneczny. Takie dni pamiętam, bywały często u nas w domu, przed wojną...

Wyszłam wtedy, jak zwykle o dwunastej, z tą czerwoną blaszanką, w której nosiło się rano mleko, a w południe zupy z kuchni dla wysiedlonych. Nie lubiłam chodzić do stołówki: siedziało tam mnóstwo osób, wszyscy w płaszczach, twarze mieli czerwone z gorącej zupy, czasem z kłótni. Musiałam przepychać się między stolikami, zawsze potknęłam się przy tym na nodze obcej albo swojej, było mi gorąco ze wstydu i wychodziłam stamtąd cała mokra od potu. Wlokłam się więc powoli niechętnie i czułam się bardzo nieszczęśliwa.

Ale naokoło mnie było tak urzekająco pięknie, że musiałam wreszcie na chwilę przystanąć i rozejrzeć się. Drzewa przy drodze, bruzdy w głębokim śniegu, kruche, piankowe gałązki krzewów pełne były iskier i błękitnych cieni. Ziemia, chmury, druty telegraficzne — to wszystko dzwoniło w suchym, mroźnym powietrzu — a wszędzie tak czysto, spokojnie i biało jak by wojny wcale nie było. Więc poczułam się nagle lekka, ogromna jak cały świat i taka wesoła, że puściłam się pędem przed siebie. Biegłam prędko i już miałam skręcić na rogu tej uliczki przed mostem, gdy z przeciwnej strony ktoś nagle wyszedł i wpadliśmy na siebie. Roześmiałam się i odskoczyłam, tamten też. Och, to był Niemiec, cały w pasach, skórach, sprzączkach, błyszczący od guzików i czystych cholew. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie zaskoczeni — potem on się roześmiał i powiedział: „żymno, panienka"! — a ja obeszłam go z daleka i pobiegłam dalej zła jak osa. Słyszałam, jak skrzypiał cały idąc, a może to skrzypiał śnieg. Roześmiał się jeszcze raz, ale nie oglądałam się za nim.

Kiedy wróciłam do domu, siedział w tej naszej nędznej kuchni przy stole i pisał. Poznałam go od razu, a i on mnie też.

Popatrzył na mnie i przez sekundę w jego oczach coś się zaświeciło — maleńka iskierka — ale zaraz odwrócił oczy i zapytał się krótko: „Tochter"?

Kazałeś mi wyjść z kuchni, siedziałam z wszystkimi w pokoiku obok i usiłowałam usłyszeć coś z tamtej rozmowy. To było dosyć trudne, drzwi, na drzwiach koc, zaczęłam więc wyobrażać sobie o czym mówicie. On pewnie pyta: Czy pan jest Żydem? Ma pan semicki nos i dzieci wszystkie czarne z wyjątkiem tamtej większej...

I przypomniało mi się, jak wracaliśmy wtedy w październiku do domu. Jechaliśmy wozem, pod płócienną płachtą na pałąkach — trzy rodziny, dużo dzieci. Ty, tatusiu, siedziałeś obok woźnicy na koźle i wtedy jakiś Niemiec zatrzymał wóz i zapytał: sind Sie Jude? — Odpowiedziałeś — nie — i to była prawda, ale mamusia czegoś się przelękła i zawołała na ciebie: chodź tu do wozu, bo biorą nas za Żydów!

— No to co z tego? — zapytałam, ale nikt z dorosłych mi nie odpowiedział. Na koźle posadzili mnie, bo mam niebieskie oczy i jasne włosy i tak było już do końca.

Cała ta historia przypomniała mi się wtedy i myślałam, jakie to dziwne, że ludzie o czarnych włosach i oczach gorsi są od blondynów. Wynikałoby z tego, że moja siostra Łucja, która ma oczy jak tarki i włosy ciemnobrązowe powinna zniknąć z powierzchni świata, a ja mogę żyć. Ale Łucji broni ten czarny, węgierski pradziadek, znany tylko z portretu w babci pokoju i metryki naszej matki. A co robią ci, którzy nie mają węgierskich pradziadków?

Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że na ludzi można polować w biały dzień z psami.

I jeszcze myślałam, że wtedy w południe ten Niemiec roześmiał się jak każdy, komu przydarzy się wpaść na rogu małej uliczki na biegnącą dziewczynkę. Wtedy był po prostu człowiekiem. Maleńka iskierka zapaliła się i zgasła — teraz jest noc i ciemność i wróg w mieszkaniu wroga.

A potem twój głos przez drzwi, spokojny, cierpliwy, jakbyś znów tłumaczył trudne zadanie przy tablicy: „Wiedziałem. Nie jestem donosicielem. Nie, mam inne pojęcie o winie i obowiązku".

Nie napisałeś nigdy „Liebe Frau und Kinder" jak inni. Ani jednej kartki. Dlaczego?

A przecież wiemy — 10404 — to ty, tatusiu...

Ale ojciec milczy, stoi wciąż na progu i na coś czeka. Może na matkę. Więc znów. — Mamy nie ma — mówię — pracuje teraz, ale wkrótce wróci...

I znów drętwieję, stygnę, zamieram. Matka, zostały z niej tylko oczy. Głos ma cichy i pęknięty. Krzyczała wtedy, krzyczała przeraźliwym, pawim głosem: nie, nie, nie! To nieprawda! My też mówiliśmy, że nieprawda, ale kazali nam w to uwierzyć. Uszyli te rzeczy ze starych pończoch babci, mamie ktoś pożyczył te czarne szmaty, w których wygląda jak widmo.

Och, nie patrz, nie patrz tam tatusiu! To naprawdę nie moja wina, nie moja...

Ale ojciec milczy, patrzy z wyrzutem na lewy rękaw i odwraca twarz.

Nie, nie, nie! — krzyczę — i budzę się z twarzą mokrą od łez.

Na wielkim gwoździu, wbitym w futrynę drzwi, wisi mój płaszcz z czarną opaską na lewym rękawie.

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa", Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: redaktor naczelny 4775, zastępca redaktora naczelnego 4610, zespół redakcyjny 2056, 2057 — wewn. 38, administracja 4656.